

Powiatki cementarne



BOLESŁAW PRUS

Powiadki cmentarne

I. OPOWIADANIE AUTORA

Rzecz dzieje się pod werendą¹ pewnej cukierni w ogrodzie...

...Wieczór letni, słońce idzie już spać i mówi dobranoc gwiazdom, które tu i owdzie wyglądają z przepaści błękitu, niby kąpiące się dziewice z gęstwin tataraku, dokąd zapędziły je zuchwałe spojzenia nieskromnego, lecz ognistego chłopca.

Balsamiczna woń ogrodu miesza się z dymem tytoniu, wyziewami kawy i herbaty i pyłem, wzniesionym przez damskie suknie. Szmer liści przedwcześnie zgrzybiałych drzewek i kaskada słowiczego śpiewu walczą o lepsze z szelestem wykrochmalonych ogonów², brzękiem łyżeczek, basowymi głosami gości i dyszkantem³ krótko ostrzyżonych, lecz nie dość krótko utrzymywanych chłopców.

Od kilku godzin, przed zmieniającymi się dość często szklankami ponczu⁴, siedzą trzy indywidua z linii obrończej. Jedno z nich jest patronem⁵, drugie adwokatem, trzecie mecenasem.

Panowie ci o godzinie piątej mówili o tym, że dni są gorące, o szóstej przeszli do reform sądowych, o siódmej do polityki, o ósmej do piękności natury, przy czym jednomyślnie zgodzili się, że widok księżycy w pełni pozostanie na zawsze piękny.

Gdy słońce zaszło, na ulicach zapłonął gaz, a każdy z obecnych powitał szóstą z kolei szklankę ponczu, gdy w dodatku księżyc ukazał się na firmamencie⁶ — wówczas lodowata skorupa wzajemnej nieufności poczęła topnieć. Trzej juryści⁷ dostrzegli, że w piersiach ich, obok kodeksu cywilnego i kryminalnego, istnieją jeszcze serca, poczęli rozmawiać o miłości i o dawno ubiegłych młodzieńczej swobody latach...

Potem nastąpiło milczenie...

Potem niebo okryło się gwiazdami, niby złotym makiem, a słowiki w różnych stonach ogrodu śpiewały tak, jak śpiewać umieją tylko zakochane słowiki...

Potem dusze prawników wypełniły się wspomnieniami, jakąś nieokreśloną melancholią, jakimś uczuciem potrzeby wylania się..

Potem wniesiono nowe szklanki ponczu i zaczęły się opowieści.

II. OPOWIADANIE PATRONA

— Mówię wam, panie dobrodzieju, że w naturze jest coś!... — rzekł patron.

— Może być! — dorzucił krótko mecenas.

— O jest i nie jedno!... Woda, arak, cukier na przykład... — zakończył adwokat.

— Kolego! — upomniał go patron — kolego... Znałem ja takich, którzy wyśmiewali wszystko, byli zdecydowani na wszystko i w końcu, panie dobrodzieju, zbankrutowali na czysto! W naturze jest coś i w duszy ludzkiej także coś. Nie drwijcie z tej struny tajemniczej, bo jak wam, panie dobrodzieju, pęknie!...

¹werenda — dziś popr.: weranda. [przypis edytorski]

²ogon — tren, pas materiału ciągnący się za suknią po ziemi. [przypis edytorski]

³dyszkant — wysoki głos chłopięcy. [przypis edytorski]

⁴poncz — gorący napój alkoholowy z herbatą. [przypis edytorski]

⁵patron — prawnik nadzorujący pracę aplikanta. [przypis edytorski]

⁶firmament (z łac.) — sklepienie niebieskie. [przypis edytorski]

⁷jurysta (daw.) — prawnik. [przypis edytorski]

Noc

Tajemnica

Patron zabębnił w stół palcami, skosztował odrobinę ponczu i zamyślił się. Młody adwokat z lekkim uśmiechem spojrział na mecenasa, lecz dostrzegłszy w twarzy jego chłód dyplomatyczny, spuścił oczy i słuchał.

— W szkołach jeszcze — prawil podtatusiały obrońca — kolegowalem z niejakim Stefanem... Kochaliśmy się bardzo. Kiedy profesor wykladał lekcję, a nasi towarzysze sensaci⁸ czytali romanse, my obaj rżnęliśmy w diabelka, albo pod ławką spaliśmy na jednym płaszczu.

Chłopak ten miał wielki spryt. Toteż kiedy jedni utrzymywali się z lekcji, drudzy z przepisywania, inni nawet z czyszczenia butów profesorom, on opłacał mundur i stancję swoim dowcipem⁹, bo ojciec, co prawda, oprócz starych, panie dobrodzieju, szopów i wolteriańskich zasad nic mu nie zostawił.

Nawiasem wspomnę, że Stefanek, nie kto inny, wynalazł loterię na rubla. Rozpisywał sto biletów po pięć groszy, losował, i — wygrywającemu oddawał rubla, a sam chował półtora. Chcieli go tam inni naśladować w tej sztuce, ale chłopak miał pięść, panie dobrodzieju, twardą i przy monopolu utrzymał się.

Mnie osobiście najwięcej imponował odwagą. W naszych czasach człowiek w dwudziestym roku życia nie bawił się w filozofię, ale jak i jego ojcowie w karty grał, czasem wypił, jeżeli co było, za dziewczętami, panie dobrodzieju, latał jak kot z pęcherzem, a dla strachów poszanowanie miał wielkie. Stefan zaś, o ile w hulatyce trzymał prym¹⁰, o tyle kpił sobie z żywych i umarłych, tak jak na przykład nasz kochany adwokat, co zresztą kryminału jeszcze nie stanowi.

Jednego dnia, jakoś w czasie egzaminów, zeszło się nas kilku na mojej stacji, gdzieśmy mieli pokoik pod strychem do nauki. W dzień jeszcześmy tam miętosili trochę książczyny, ale jak nadszedł wieczór ciepły, widny, taki, panie dobrodzieju, pociągający do złego... Odleciały, powiadam wam, książki w ką! Każdy czuł, że trzeba dziś zrobić jakieś głupstwo, ponieważ jednak na to, co by nam się podobało, pieniędzy nie mieliśmy, ktoś zatem szepnął, aby iść na cmentarz...

W tym punkcie opowiadania mecenas zauważył, że wieczór robi się chłodny, uwagę tę potwierdzili dwaj inni, skutkiem czego na stole ukazały się nowe szklanki ponczu.

— No, ale może was nudzi to opowiadanie? — spytał nagle patron.

— Bynajmniej! Gdzież znowu!... — zaprzeczyli słuchacze.

— Ha! Jeżeli tak, panie dobrodzieju, to słuchajcie dalszego ciągu.

W stancyjce było nas ośmiu, lecz wyszło nas tylko siedmiu, potem na mieście zrobiło się sześcioro, a na rogatce zostało tylko pięciu. Ile pamiętam, kpinkowaliśmy¹¹ sobie całą drogę, stopniowo jednak gardła nam jakoś chryply, dowcip zakulał na powagę, a u wrót cmentarnych skończyło się na tym, że wszyscy, z wyjątkiem pogwizdującego Stefana, zdjęliśmy, panie dobrodzieju, czapeczki, i przeżegnali się z większą, niż kiedykolwiek, pobożnością.

Szanowny mówca, zapewne dla nadania dźwięczności swemu głosowi, coraz częściej podnosił szklankę do ust, choć, jako człowiek wstrzemięźliwy, niewiele polykał od razu.

— Kiedyśmy się znaleźli za cmentarnym murem, rzetelnie powiadam wam, że nam w pierwszym momencie tchu, panie dobrodzieju, zabrakło. Cmentarz zupełnie inaczej wygląda w dzień, a inaczej w nocy...

Księżyc jakoś wtedy nie świecił, wiatr wiał... Kiedyśmy jeszcze szli prędko naprzód i każdy o własnym strachu myślał, było jako tako; ale kiedyśmy się już znaleźli na środku...

Patron znowu lyknął rozgrzewającego likworu¹².

— Cmentarz w porze nocnej, powiadam wam, to nie chychy!

Przed tobą groby, za tobą groby, na prawo i na lewo także groby, pod tobą resztki, panie dobrodzieju, ludzkie, a nad tobą być może rój duchów... Ten krzyż pokazuje ci, że pod nim leży, panie dobrodzieju, umarły, ten kamień, zdaje ci się, że przyciska nieboszczyka, który inaczej wychyliłby, panie dobrodzieju, na świat głowę; te drzewa i krzaki,

Alkohol

Cmentarz

⁸sensat (daw.) — człowiek przesadnie poważny. [przypis edytorski]

⁹dowcip (daw.) — rozum. [przypis edytorski]

¹⁰prym (daw.) — pierwszeństwo. [przypis edytorski]

¹¹kpinkować (daw.) — żartować, pokpiwać. [przypis edytorski]

¹²likwor (daw.) — napój alkoholowy. [przypis edytorski]

wykarmione krwią i ciałem, pochylają się tak, jakby ci w oczy, panie dobrodzieju, spojrzeć, lub do ucha szepnąć coś chciały...

Patrząc na garbate mogiły, przypomniałem sobie kretowiska na łąkach. Co będzie, pomyślałem, jeżeli się kopce te poruszą, panie dobrodzieju, rozpadną i jeżeli uwolnieni z grobów, panie dobrodzieju, nieboszczykowie tłumem pędzić poczną około nas, uciekając z tych, panie dobrodzieju, miejsc strasznych, do których my, dzieciaki głupie, przyszliśmy samochcący?...

Mówiąc to, szanowny patron był widocznie nie tylko głębiej wzruszony od obu swoich towarzyszków, ale nawet od wszystkich razem spacerujących w Saskim Ogrodzie.

— W tej chwili — ciągnął obrońca — dzika myśl przemknęła mi przez głowę. Przypomniałem sobie, że ja mam szkielet i moi koledzy mają także szkielety, że cały ten piękny świat jest niczym więcej, tylko pokrywką, z poza której wyszczerza, panie dobrodzieju, zęby śmierć obrzydliwa.

Powiadam wam, myśli te tak mi zamąciły w głowie, że pod słowem, zwariowałbym niechybnie, gdybym w tej chwili jakiś oryginalny szelest usłyszał. Na szczęście oprócz jednostajnego szumu liści i krakowiaków, wygwizdywanych przez Stefana, nie było słychać nic...

Gdyśmy nieco z wrażenia ochłonęli, odezwał się jeden, już nie pamiętam który:

— „Więc ty, Stefek, naprawdę się nie boisz, czy tylko tak miną, panie dobrodzieju, nadrabiasz?”

— „Cha! Cha! Cha! Jak się masz głupi! — krzyknął Stefan. — Ja się boję?... Jeżeli chcecie, to wam zaraz trupa, panie dobrodzieju, głowę wykopię...”

— „I ja bym to potrafił!” — szepnął któryś.

Stefan zakipiał z rozdrażnienia.

— „No, słuchajcie! Ja zrobię to, czego żaden z was nie potrafi... Oto przyniosę wam ten krzyż spróchniały, około którego przechodziliśmy.”

— „Zgoda!”

Krzyż ów, porosły mchem i opleciony, panie dobrodzieju, bluszczem, stał o kilkaset kroków, pośród gąszczy, do którego żaden z nas pojedynczo nie poszedłby za neapolitańskie sumy¹³. Stefan jednak ani się zawahał; pobiął śmiało naprzód, a my tymczasem usiedliśmy na mogiłce.

Dziś jeszcze słyszę szelest jego kroków i kłątwy, jakie rzucił, potykając się o groby. Drżałem jak listek, zdawało mi się, że Stefanowi ktoś drogę zastępuje, albo znowu, że nieboszczyk, którego przysiedliśmy, chce kościstymi i z mięsa obranymi palcami uszczypnąć mnie, panie dobrodzieju, w łydkę...

Brru...

Nagle ucichły kroki Stefana, a w mojej piersi dech... Słucham, coś puka: łup! łup! łup!... — to tak pulsa biją mi w głowie. Wreszcie i pulsa bić przestały, a wtedy rozległ się na cmentarzu suchy, przeciągły trzask, którego nawet przy śmierci nie zapomnę...

To Stefan złamał krzyżyk nadpróchniały i ciągnął go z wielkim hałasem po zagonach grobów.

Pobiegliśmy naprzeciw. Tamci wieszowali Stefanowi odwagi, a ja tymczasem obejrzałem złamaną figurę. Drzewo było szerniałe i miękkie, a na nim blacha zardzewiała, na której z trudnością przeczytałem:

Maryja...

... t 17...

... stchnie...

... Boga.

W kwadrans potem byliśmy już przy rogatce...

Patron umilkł, a mecenas odezwał się:

— W opowiadaniu tym uważam jakiś brak. Spodziewałem się, że będzie ono cudowne, tymczasem zaś nie widzę tego...

¹³neapolitańskie sumy — 430 tys. dukatów pożyczonych królowi hiszpańskiemu Filipowi II przez polską królową Bonę; po śmierci królowej pieniędzy nie udało się odzyskać. [przypis edytorski]

— Przypominam koledze — odparł patron — żem ja co innego miał na myśli. Chciałem po prostu naszemu koledze adwokatowi dowieść, że ludzie zdecydowani na wszystko stają się niekiedy moralnymi bankrutami...

— Więc ma być dokończenie?

— Rozumie się.

— A zatem słuchamy. Chłopcze! Daj-no jeszcze trzy szklanki ponczu...

*

— Od owej nocy — ciągnął patron — Stefan zmienił się, jakby nie... ten sam. Nie powiem, broń Boże, aby mniej pił, albo mniej w karty grał; owszem, robił to częściej i w porcjach większych. Zmiana jednak była gorsza: z odważnego bowiem zrobił się (jakby siekierą ciął) tchórzliwy, sam spać w jednym pokoju nie mógł i często zrywał się przez sen, wrzeszcząc:

— „Maniu! Maniu!...”

W parę miesięcy później dowiedzieliśmy się, że owa Mania była jedną z pierwszych ofiar jego, że się tak wyrażę, niepowściągliwości, i że przed trzema laty zmarła.

— W tym miejscu — przerwał adwokat — pozwolę zrobić sobie uwagę, żeś kolega miał porządnych przyjaciół!...

— Niczego, panie dobrodziej, niczego! — odparł patron i mówił dalej.

Upłynęło lat kilka.

Byłem już wtedy tym, czym jestem do dziś dnia, czyli patronem, i konkurowałem o moją pierwszą nieodżałowanej pamięci małżonkę; lecz choć stołowałem się u jej rodziców, kiedy niekiedy jednak zaglądałem do starych znajomych.

Pewnego wieczoru zaszedłem do jednej lichej kawiarenki, w której nie byłem już od półtora roku. Wchodzę, patrzę, dziewczęta te same, choć podstarzały się, ściany te same, choć poczerniały bardziej, i kanarek ten sam, choć mu ogon, panie dobrodziej, kot urwał...

Wchodzę, witam się, i one się witają; mówię: — „Dajcie kawy!” — dają kawy; siadam na krześle i gapię się po ludziach.

Eh! Panie dobrodziej, jakże ten świat zmienia się powoli! Goście ci sami, a choć przybyło kilku nowych, za to trzech starych umarło, a jeden się ożenił. Ubiory te same, rozmowy te same, a nawet i te same fajki, bo wówczas papierosów nie używano.

Już chciałem knajpinę opuścić, kiedy nagle weszło do niej dwu grajków: jeden mały i pękaty z fletrowersem¹⁴, drugi wysoki, czerwony i zarosły ze skrzypcami...

Siadają... Grają... Tfy! Do kaduka, a toż ten skrzypek wykapany Stefan!

Podchodzę, on sam! — „Jak się masz... — Jak się masz...” — „Co robisz?” — „Jestem grajkiem. A ty co?... — „Jestem patronem.” Od słowa, panie dobrodziej, do słowa, kupiłem kawy, wódki, którą pasjami lubił, i dla oporządzenia, jako dawnego przyjaciela, wzięłem do siebie na noc.

Posłałem mu na kanapie, dałem koszulę i parę innych rzeczy... Gadaliśmy może do pierwszej, a potem dalejże spać, panie dobrodziej, aż do śniadania...

Ledwie się zdrzemnął, słyszę krzyk:

— „Maniu!... Panie dobrodziej... Maniu! Twój krzyż!... Nie wiedziałem! Nie wiedziałem!”

Zrywam się na równe nogi, zapalam światło... Patrzę, Stefan siedzi na łóżku, z oczyma w ślup, z pięściami zaciśniętymi, i ciągle jedno w kółko powtarza...

Nimem go dotrzeźwił, ranek nadszedł, a gdy na drugi dzień odprowadziłem go na Powiśle do domu, w którym mieszkał razem z pękatym fletrowerzystą, ten na moje pytania krótko mi odpowiedział:

— „Co pan chcesz, to człowiek, panie dobrodziej, nieprzytomny! W dzień dlatego, że pije, w nocy dlatego, że go prześladowuje jakaś Mania, którą nie tylko, że o śmierć przyprawił, ale jeszcze krzyż jej z grobu ukradł!...”

Powiedziawszy to, patron wychylił szklankę do dna i umilkł.

¹⁴fletrowers — rodzaj fletu poprzecznego. [przypis edytorski]

Dwaj jego słuchacze byli głęboko wzruszeni: adwokatowi melancholijnie błyszcząły oczy, a zimny mecenas miał na obu policzkach ciemnoamarantowe plamy.

— Dziwna rzecz! — zaczął mecenas. — Świat ten niby jest budowany po prostu. Rządzą nim niezłomne prawa natury. A jednak... są tu zagadkowe powikłania interesów. Któżby się na przykład spodziewał, że ja panom dokończę historię Stefana? Przypomniałem ją sobie w tej chwili dopiero.

— Czy być, panie dobrodzieju, może! — wykrzyknął bardziej, niżby wypadało zdumiony patron.

— Szanowni panowie! — wtrącił adwokat. — Prosiłbym o słówko *ad hoc*¹⁵. Przypuszczam, a nawet jestem prawie pewny, że będę mógł szanownym panom udzielić niejakich informacji co do interesującej Marii...

Zaniepokojony patron szeroko otworzył usta. Patrząc na jego fizjonomię¹⁶, można było mniemać, że człowiek ten wszystkiego spodziewał się w życiu, wyjąwszy uzupełnień do swej zajmującej historii.

— Ustępuję adwokatowi głosu — rzekł mecenas — ponieważ chciałbym mieć ostatnie słowo.

Przyniesiono znowu poncz, i adwokat tak rzecz rozpoczął:

III. OPOWIADANIE ADWOKATA

— Miło mi jest — powiedział adwokat — oświadczyć panom, że życie moje rozwijało się, jeżeli nie powiem: nadzwyczaj, to przynajmniej bardzo wszechstronnie...

Dziś, jako adwokat, jestem do pewnego stopnia organem władzy i czynnikiem porządku. W wieku chłopięcym byłem nauczycielem elementarnym¹⁷ i pochlebiam sobie, że zarówno książką, jak i dyscypliną przyczyniałem się do rozszerzenia w masach oświaty i dobrych obyczajów. Później zostałem nauczycielem tańców, a więc jednym z kapłanów sztuki.

Nawiasowo dodam: że honorowano mnie wówczas nędznie, choć tańczyłem bardziej z natchnienia, aniżeli skutkiem odpowiednich studiów. Przy pomocy wiotkiej postawy i interesującej fizjonomii zebrałem sobie jedenastu uczniów, którzy płacili mi po dziesięćce za lekcję, a którym ja, sprzedawszy nadpsutą pozytywkę, zamiast grać, śpiewałem popularniejsze tańce.

Nareszcie, widząc, że lada baletmistrz, który „ze względów intelektualnych” nie wart mi butów czyścić, lepiej się ma ode mnie, rzuciłem swój zawód choreografa i zostałem kancelistą¹⁸ przy szpitalu.

Tu nauczyłem się sprawować władzę z godnością.

Jeżeli przywieziono nowego chorego, miałem zwyczaj, wpisując go do ksiąg, udawać kandydata na lekarza, egzaminowałem pacjenta i kiwałem przy tym głową, tudzież gryzłem wargi tak, jak najprawdziwszy doktor medycyny i chirurgii. Kiedy do chorego przychodzili krewni, pocieszałem ich frazesami:

— „Będzie lepiej!... Silna kompleksja¹⁹...” — pozwalałem marniejszym z pomiędzy nich całować się w rękę, i, z miną głównego opiekuna, polecałem szwajcarowi²⁰, aby ich puścił (jeżeli notabene był dzień po temu.)

Zakonnice lubiły mnie, ponieważ modliłem się klęczący i namówiłem do spowiedzi dwu chorych ateuszów²¹. Lubili mnie i posługacze, ponieważ nie przeszkadzałem im brać łapówek, lub upijać się nawet, jeżeli był odpowiedni. Przypuszczam, że i z chorymi trafiłbym do ładu, gdybym im mógł dawać większe „porcje”. Na nieszczęście, nie ode mnie to zależało...

— Przepraszam, panie dobrodzieju, szanownego kolegę, ale chcielibyśmy się czegoś o Marii dowiedzieć — przerwał obrońca.

¹⁵*ad hoc* (łac.) — bez przygotowania. [przypis edytorski]

¹⁶*fizjonomia* (daw.) — wygląd twarzy, ciała. [przypis edytorski]

¹⁷*nauczyciel elementarny* — nauczyciel w pierwszych klasach szkoły podstawowej. [przypis edytorski]

¹⁸*kancelista* (daw.) — urzędnik kancelaryjny. [przypis edytorski]

¹⁹*kompleksja* (daw.) — budowa ciała. [przypis edytorski]

²⁰*szwajcar* — tu: portier. [przypis edytorski]

²¹*ateusz* — ateista. [przypis edytorski]

— Nie myśl, szanowny kolego, abym ci chciał opisywać powody, dla których rzuciłem szpital, wziąłem się do nauki i wszedłem następnie do uniwersytetu. Ponieważ jednak Marię poznałem w szpitalu, nie mogłem więc o nim przynajmniej krótko nie wspomnieć...

— Słuchamy! Słuchamy! — wtrącił mecenas.

— Pewnego zimowego wieczoru, około drugiej, siedziałem w kancelarii szpitalnej. Tego dnia mieliśmy kilka pogrzebów, kilku konających i w ogóle dosyć zajęcia, niedobrze wpływającego na nerwy.

Na dworze szumiała burza. Śnieg bił w szyby, wiatr z jękiem wpadał do komina i trząsał blachą, co nader przykry wywoływało efekt.

Dodajcie do tego niezbyt jasne światło lojówki²², olbrzymi krucyfiks wiszący na ścianie, a wreszcie to, że posługacz, śpiący w kancelarii, chrapał, jak gdyby go zarzynano, a zrozumiecie łatwo stan, w jakim znajdowałem się podówczas.

Nagle, u furty, targnięto parę razy za dzwonek. Ze sposobu targnięcia poznałem, że interesant sam jest chory, sznur bowiem poruszył się parę razy, a dzwonek uderzył tylko raz. Przez skórę czułem, że jakaś bardzo osłabiona ręka wykonywa tę czynność.

Nie wiem dlaczego, przeraziłem się i nie ruszyłem z miejsca...

Tymczasem za sznur pociągnięto znowu, choć jeszcze niedołążniej, niż poprzednio.

Pobiegłem do sieni, lecz w tej chwili usłyszałem cichy jęk i upadek za drzwiami, w które wiatr gwałtownie uderzał.

Teraz już nie miałem odwagi wyjść sam, ale zbudziłem szwajcara i posługacza. Mruzczeni obaj wprawdzie, jak wilki, ogarnęli się względnie dość prędko, i wyszliśmy razem.

W progu, przysypana śniegiem, leżała jakaś kobieta.

Wnieśliśmy ją do kancelarii, i tu przekonałem się, że kobieta owa, mimo dostatecznie rozwiniętych kształtów, miała rysy dziecinne. Liczyła co najwyżej lat 17.

Wkrótce znalazł się felczer²³ i zakonnica. Otrzeźwiliśmy chorą, daliśmy jej parę łyżeczek wina i trochę ciepłego kleiku, otworzyła biedactwo, mówiąc nawiasem, bardzo piękne oczy, ale podnieść się nie mogła.

— „Co ci jest, moje dziecko?” — spytała poczciwa zakonnica.

— „Córeczka mi umarła!” — jęknęła.

Spojrzeliśmy po sobie.

— „Gdzie pani mieszka?” — spytałem.

— „Nigdzie! Trzy dni tułam się po ulicach, a dzisiejszej nocy...”

— „Nie masz więc pani nikogo w Warszawie?”

— „Mam opiekuna, ale on już prawie od roku wygnał mnie...”

Zapytana o bliższe informacje, powiedziała, że ma na imię Maria. Nazwiska jej jednak w tej chwili nie pamiętam.

Ponieważ szpital był przepełniony, chorą więc umieszczono w pokoiku przy kancelarii. Zainteresowany jej nieszczęściami i pięknnością, odwiedzałem ją częściej może, niż by wypadało, i powoli wy dobyłem z niej historię, którą mi z naiwną prostotą opowiedziała.

Rodziców nie pamiętała, wychowali ją zaś pewien lokaj, którego nazywała tatkiem, z żoną swoją praczką, która jej istotnie zastępowała matkę.

Póki żyła przybrana matka, uczyła ją czytać i pisać, czesała jej z rana włosy, a męża wieczorem dla rozmaitości nazywała pijakiem. Wówczas tatko irytował się niesłychanie, matkę kłął, a dziewczynę poszturgiwał²⁴...

Mniejsza jeszcze o sierotę, ale pijaczyna miał obmierzły zwyczaj rzucać za żoną rozmaitymi naczyniami i sprzętami. Toteż wszystkie stołki były połamane, szklanki i garnki potłuczone, a poczciwa kobieta nosiła sińce na całym ciele. Raz nawet jak ją uderzył nogą w piersi, rozchorowała się nieboga, leżała miesiąc w łóżku i wreszcie zmarła.

Po śmierci żony tatko sprzedał połowę rzeczy, pił coraz mocniej i stracił służbę. Od tego czasu poczeli dom odwiedzać różni panowie, a także jakieś panie młode i stare...

O czym konferowali z dymisjonowanym lokajem, Maria nie wiedziała, dostrzegła jednak to, że w owych czasach miał więcej grosza, niż dawniej, a pijał tylko arak²⁵.

²²lojówka — świeca lojowa. [przypis edytorski]

²³felczer — osoba wykonująca proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

²⁴poszturgiwał — dziś popr.: poszturchiwał. [przypis edytorski]

²⁵arak — aromatyczny napój alkoholowy. [przypis edytorski]

Najczęściej odwiedzał ich pewien stary bogacz, o którym opiekun mówił, że ma fałszywe zęby, cudze włosy i przyprawioną rękę. Nazywał go też wielkim nicponiem, ale kłaniał mu się do samej ziemi, bo mu stary najwięcej dawał zarabiać.

Pewnego dnia stary przyniósł dziewczynie kolczyki i broszkę. Bała się go bardzo, lecz gościnię²⁶ wzięła, ponieważ był ładny.

Tego samego wieczora eks-lokaj powiedział jej, że pójdzie do starego na służbę...

Jakie tam przy okazji wystąpiły propozycje, łatwo domyślicie się, szanowni koledzy. Uczciwa, choć niedoświadczona dziewczyna, pamiętając o przestroгах opiekunki, odparła je ze wstrętem. Łotr jednak tatko, dla którego skrupuły podobne nie istniały, wpadł we wściekłość i wygnał z domu sierotę.

— „Ha! Wtedy — mówiła biedna Maria — porwała mnie złość. Klęklam na bruku i przysięgam Bogu Najwyższemu, że już do tego domu, gdzie chcę duszę moją zgubić, skąd mnie gorzej, niż psa wypędzają, nigdy nie wrócę. I powiadam, że i dziś bym nie wróciła, chyba, żeby Bóg za taką dobroć moją oddał mi córeczkę.

Potem z naszej ulicy uciekłam jak wariatka, sama nie wiedząc gdzie. Chciałam iść do jednej stróżki znajomej, ale mi wstyd było i nie poszłam. Potem pomyślałam, że najlepiej zrobię, jeżeli się w Wiśle utopię, i pobiegłam na most.

Póki ludzie czuwali i światła paliły się w domach, chodziłam po moście i mówiłam sobie tak: — „Jeszcze się popatrzę na Warszawę, to znowu na Pragę, to na Saską Kępe, a potem skoczę w wodę.” Takem się zamyśliła, aż naraz zrobiło się strasznie pusto na ulicach. Wtedy, mówię panu, taki lęk mnie ogarnął!... Zdawało mi się, że się most załamuje, albo woda podnosi, to znowu... Albo ja już wiem, co mi się nie zdawało!

Ach! Od jednego razu jak nie zaczęłam uciekać, jak nie zaczęłam... Jeszcze trzeba było nieszczęścia, że za mną leciał ktoś na ulicy... Małom nie padła!

Stałam pod murem i słucham, i słucham: idzie ktoś, ale nie z tej strony, co mnie gonili, tylko z drugiej. Idzie sobie i gwizdże...

To tak szedł i wygwizdywał sobie pan Stefan. Wtedy naraz zaczęłam płakać, sama nie wiem nawet czego...

Pan Stefan zobaczył mnie i stanął.

— „Coś ty za jedna? Czego płaczesz?...”

— „Sierota jestem, panie, a płaczę, bo mnie ojciec z domu wygnał.”

Potem opowiedziałam mu wszystko, co się stało.

— „Ha! — mówi pan — tyś sierota i ja sierota, więc chodź ze mną.”

I poszedł naprzód do jednego drewnianego domu, gdzie mieszkał na facjatce²⁷.

— Biedne dziecko! — mruknął mecenas.

— Istotnie, że biedne! — potwierdził adwokat. — Uciekając przed starym rozpustnikiem, trafiła na młodego filantropa, który przez litość wziął naprzód do siebie, a potem rozumie się, porzucił!

Wówczas poszła na służbę, ale i tam jej się nie wiodło, ponieważ w kilka miesięcy państwo odprawili ją, zobaczywszy, co się święci.

Wtedy dostała miejsce w szynku, gdzie robota była ciężka, ale strawa niedobra. Toteż chorowała tam prawie co dzień. Szukała także i Stefana, ale on zginął gdzieś, jak kamień w wodzie.

— „Wreszcie — mówiła dalej Maria — nie mogąc już wytrzymać w szynku, podziękowałam za służbę i z kilku zebranych rublami poszłam na komorne do jednej starej kobiety.

Staruszka była bardzo pocziwa, choć biedna. Zdaje mi się, że chodziła po proszonym; toteż jeść, choć lichy, mieliśmy, ale palić nie było czym w izbie.

W tych czasach dał mi Bóg córeczkę; ale biedactwo umarło, trochę może z zima, a trochę i z głodu. Niezadługo potem staruszkę sankarz rozjechał na ulicy, a mnie gospodarz z domu wypędził...

Teraz już zostałam sama na świecie i w takiej jeszcze nędzy!

Państwa wstydziałam się prosić o co, ale prosiłam babek żebrzących, i te mnie przez kilka dni karmiły. Dawały mi wódki, chleba, zimnych kartofli, a nawet i po parę groszy.

²⁶gościnię — podarunek. [przypis edytorski]

²⁷facjatka — mieszkanie na poddaszu. [przypis edytorski]

Jednej nocy spałam w takiej pace, co w niej fortepiany rozwożą, a drugiej w kościele, gdzie mnie dziadek jakoś nie dopatrzył po nabożeństwie. Na trzecią noc poszłam do psiej budy i tam mi było najcieplej ale, że się ludzie jakoś po podwórzu kręcili, musiałam więc uciekać, i wtedy Pan Bóg do szpitala mnie doprowadził.”

*

Adwokat przerwał opowiadanie i duszkiem wychylił pozostałą resztkę ponczu.

— Ciekawa, panie dobrodzieju, historia — mruknął patron.

— Zdaje się, że jeszcze nieskończona — zauważył mecenas.

— Do końca już niedaleko, szanowni koledzy — rzekł adwokat.

— Ojciec mój w tym czasie wezwał mnie do domu w interesie familijnym, którego wymieniać nie widzę potrzeby. Jako dobry urzędnik, wziąłem urlop na osiem dni, siedziałem dwa tygodnie, gdy zaś powróciłem do obowiązków szpitalnego kancelisty (a działo się to wieczorem), pobiegłem najpierw do pokoju Marii. Łóżko jej znalazłem posłane, tablicę startą, miskę umytą, lecz lokatorki nie było.

W tej chwili, panowie, uczulem to, co czuć musi korek, gdy w istotę jego wszrubowują²⁸ trybuszon²⁹... — „Czy choć aby nie wyzdrowiała?...” — pomyślałem.

Na korytarzu spotkałem szwajcara, który miał, jak zwykle, minę Aleksandra Macedońskiego; przeszedłem obok szarytki³⁰, która ze spuszczoneymi, jak zwykle, oczyma, niosła komuś kubek z lekarstwem, lecz o Marię pytać nie śmiałem. Zdawało mi się, że gdy wymówię to imię, wstyd ściśnie mi gardło tak, że nie będę mógł więcej słów przemówić.

Należało jeszcze zajrzeć na sale ogólne.

Wszedłem do największej, którą od kilku dni zajmowali mężczyźni.

Pałiło się w niej kilka łojowych świeczek. Jeden chory wciskał w łapę posługaczowi³¹ dyskę i bilecik, prawdopodobnie miłosny. Dwaj inni kłócili się o porcję, którą jeden zjadł drugiemu w chwili, gdy tamten spoczywał na łonie Morfeusza³². Jeszcze dwaj inni, ubrani w sukienne szlafroki, pantofle z drewnianymi podeszwami i szlafmyce podobne do głów cukru, grali w warcaby zrobione z ośrodków chleba i bułki. Na drugim wreszcie końcu sali felczer stawiał bańki jakiemuś otyłemu mężczyźnie, który wzdychał jak wół, a kłął jak potępieniec.

Łatwo odgadnąć, że Marii w tym towarzystwie nie było.

Poszedłem do oddziału kobiecego, lecz stąd musiałem się cofnąć już ode drzwi. Na łóżku jakiejś chorej staruszki siedział ksiądz w komży³³, obok zaś klęczała siostra z gromnicą w ręku. Żółta jak wosk kandydatka do wiekuistej podróży widocznie była już na wsiadaniu.

Pojmujecie, szanowni koledzy, że widok ten nie mógł mnie natchnąć dobrymi przecuciami. Grajcarek boleści wświdrowywał mi się coraz głębiej w serce, puls bił prędeej, niż zwykle, słowem, czułem się bardzo nieszczęśliwy.

Nie pytałem już nikogo o Marię, lecz machinalnie skierowałem się do trupiarni.

Budynek, do którego zmierzałem, dzielił się na dwie części: jedna była składem zmarłych, druga mieszkaniem żyjących. Oba te lokale miały sięn wspólną, odgradzała zaś je tylko ściana.

Będąc już o killkanaście kroków od budowli, usłyszałem jakiś hałas. To stróż wyprawiał chrzciny, na które zeszło się kilka przychylnych mu osób.

— „Pij-no, Kasperek! — mówił ktoś grubym ochryplym głosem. — Tak się delikatnie bierzesz do szkła, jakbyś był z *rysztokracji*.”

— „Ignas! Ignasiu! Nie przymuszaj nikogo, bo to niepięknie.”

„Inny nie ma takiej głowy, jak ty, a po drugiej wódka przecież nie twoja...” — odezwał się głos kobiecy.

— „Wszystko moje, co w brzuchu!...” — wykrzyknął pierwszy, a potem zaśpiewał:

²⁸ *wszrubowyywać* — wśrubowyywać, wkręcać. [przypis edytorski]

²⁹ *trybuszon* (z fr. *tire-bouchon*) — korkociąg. [przypis edytorski]

³⁰ *szarytki* — katolickie zgromadzenie zakonne. [przypis edytorski]

³¹ *posługacz* (daw.) — pracownik wykonujący cięższe, dodatkowe prace. [przypis edytorski]

³² *Morfeusz* (mit. gr.) — bóg snu. [przypis edytorski]

³³ *komża* — biała szata liturgiczna noszona przez katolickich duchownych. [przypis edytorski]

”Jakże ja se gorzaliny w gębę naleje, To aże mi, panie tego, oczko zbieleje!”

Huczny śmiech stał się nagrodą mniej trzeźwego, niż wesołego śpiewaka.

Pchnąłem drzwi boczne i wszedłem do trupiarni.

Przybita do ściany, kopciła się tutaj lampka nafciana, której zapomniano zagasić. Przy jej niepewnym świetelku dostrzegłem kilka tapczanów, na których owinięci w białe prześcieradła spoczywali umarli.

Choć drzwi i okna okryte były szronem, z sufitu jednak spływały duże krople wilgoci. Zdawało się, że to są łzy, które nad ludzką nędzą wylewa ten dom okrutny.

Trupy leżały, jak los zdarzył. Na ramieniu jakiegoś silnego mężczyzny z wyszczerzonymi zębami opierała się głowa dziecka, niby pogrążonego we śnie głębokim. Za nimi, na prawym boku, spoczywał jakiś młody blondyn, z rękami skurczonymi tak, jakby chciał okręcić się całunem i w ten sposób zabezpieczyć od przejmującego zimna...

W samym rogu leżała Maria...

Na ten widok dziwne opanowało mnie uczucie. Pierzchnął strach, wzburzenie i odraza, a miejsce ich zajęła głęboka obojętność. Siadłem u jej nóg, spokojnie patrzyłem na wpółotwarte usta i bez dreszczu ucałowałem wyprężoną i chłodną jej rękę... Gdyby wtedy młody blondyn uniósł się ze swej twardej pościeli, aby mi zrobić miejsce, wówczas bez obawy i wstrętu ległbym między nimi na tym ohydny tapczanie...

W tej chwili ze szpitalnego kancelisty stałem się bohaterem jakiejś tragedii bez tytułu i aktów, której za scenę służyła dusza moja. Wtedy to po raz pierwszy w życiu najciemniejsze zakątki mego wnętrza rozświetliła jakaś złowroga błyskawica, przy której dostrzegłem, że nawet kamienie umieją płakać, a trupy śmiać się, że ten świat w gruncie rzeczy jest inny zupełnie, niż mi się dotychczas wydawał, i że całe życie nasze jest bardzo ciężkim, ale i bardzo głupim brzemieniem.

Ach! Szanowni koledzy, czuję, że mówiąc to, muszę się wam bardzo zabawnym wydawać, lecz taki to już mój temperament. Przy gorącym ponczu, a zresztą i bez niego, spada na mnie niekiedy jakiś duch z tej izby ponurej, który mnie unosi — dokąd?... Nie wiem, ale w każdym razie gdzieś bardzo wysoko.

Smutne te dumania przerwał mi nagle głos mówiący:

— „A poświęć—no Michał, bo się coś tam tłucze po sieni...”

„Zaświeć, matlu, zaświeć,
Bo w komorze niedźwiedz...”

— zaśpiewał wesoły biesiadnik, nazywany Ignasem.

Jednocześnie otworzyły się drzwi i ujrzałem stróża z gośćmi.

Biesiadnicy na mój widok chcieli uciekać, myśląc zapewne, że jestem nieboszczykiem; na szczęście pohamował ich stróż.

— „To pan!... A pan tu co robi?...” — zapytał dozorca zmarłych.

— „Przyszedłem zobaczyć tę biedną dziewczynę” — odparłem wskazując Marię.

Goście, oglądając się na wszystkie strony, weszli do trupiarni.

Nagle jeden z nich zawołał:

— „O! ...A toż to moja wychowanka!... Widzieliście wy?...”

— „Ta o?...” — spytał stróż.

— „Ona sama, ona! Bez mała już rok, jak ode mnie uciekła... Naszukałem się jej co niemiara i nie znalazłem, a teraz nie szukałem i znalazłem. Słyszane to rzeczy?”

— „Ii... nic jej ta nie będzie!” — mruknął gospodarz.

— „Chodźcie, marudy, chodźcie do izby, bo zimno!” — zawołała stróżowa.

W parę minut później pan Ignacy pił za zdrowie znalezionej przez siebie wychowanki.

W takich okolicznościach widziałem po raz ostatni Marię i miałem honor zrobić znajomość z jej szanownym opiekunem.

VI. OPOWIADANIE MECENASA

— O czym to ja chciałem panom powiedzieć?... — z kolei brał głos mecenas.

Po tych słowach zamyślił się, utarł nos i znowu się zamyślił.

Trup

— Aha!... Nie... i to nie!... Czy uważacie, panowie, bo ja sprawdziłem na sobie, że powietrze wieczorne oddziaływa na pamięć w sposób bardzo szkodliwy?...

— To prędzej poncz! — mruknął adwokat, patrząc w ziemię.

— Ale cóż znowu, panie dobrodzieju! — oburzył się patron. — Przecież nie wypiliśmy go zbyt... zbyt... Jakby tu, panie dobrodzieju, powiedzić!

— Rozumie się! — poparł go mecenas.

— Sądzę, że najlepiej będzie sprawdzić — rzekł adwokat. — Chłopcze! Ile się od nas należy?...

— Za trzydzieści trzy szklanki ponczu i dwa syfony wody...

— Co? Co?... — wykrzyknęli patron z mecenasem. — Po ileż to wypada na jedno?...

— Po jedenaście.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Ja, panie dobrodzieju, nie mogłem wypić jedenastu szklanek — rzekł patron — lecz swoje zapłacę.

— Ja także nie, jednak zapłacę — powtórzył mecenas.

— No, mniejsza o to! — odezwał się adwokat. — Widocznie jeden z nas wypił za siebie i dwu pozostałych, co zresztą nie przeszkadza nam wysłuchać opowiadania szanownego kolegi.

— Kiedy bo... takeście mi głowę zamącili, że doprawdy nie pamiętam...

— Miałeś mecenas, panie dobrodzieju, mówić o Stefanie.

— No tak! Ale oprócz tego miałem na myśli jeszcze jedną kwestię bardzo ważną, powiem nawet palącą, o której literalnie zapomniałem!

— Znajdzie się później — przerwał adwokat — a teraz słuchamy zakończenia o Stefanie.

— Ha! Powiem o nim, choć ta przekłeta kwestia nie da mi spokoju! Hum! Hum!

Otóż tedy pewnego dnia umarł mój szkolny kolega, a następnie radca Chapandrowicz, ten sam, co to niegdyś konkurował o pannę Wierciszewską z Kurzychstopek, a potem, z powodu nagniotków, przez całe życie nosił sukienne kamasze.

Otóż tedy, kiedy umarł, jego brat wyprawił mu świetny pogrzeb, a potem odezwał się bardzo rozsądnie: — „Moi panowie! Ponieważ w domu ś.p. nieboszczyka nie znajdziemy nawet szklanki wody, ja zaś sam stoję w hotelu, proszę więc was, najszczerzych przyjaciół zmarłego, dziś wieczorem do Stępka, a jutro na nabożeństwo do kaplicy cmentarnej...”

Ach!... Co też ja miałem panom powiedzieć?... Szczególniejsza rzecz na honor! Mam taką pamięć lokalną... No, ale mniejsza!...”

Poszliśmy sobie tedy wieczorem do pocziwego Antka, na drugi dzień na cmentarz, wysłuchaliśmy nabożeństwa, no a ponieważ Chapandrowicz młodszy nie znał Powązek, więc odprowadziliśmy go i naturalnie pocieszali po tak dotkliwej stracie.

Szlachcic rozruszał się bardzo prędko. Tu podziwiał armatę na grobie, tam znowu katakumby, ale najwięcej zaciekały go studnie i baranki. — „Co to za baranki?... Po co te baranki?...” — pytał nas, a my naturalnie wytłumaczyliśmy mu, że matki na grobach dzieci składają zabawki, na jaką którą z nich stać.

Piękny ten zwyczaj mnie samego rozrzewnił. Wyznam panom, że i ja mam duszę poetyczną, powiem nawet, że ten dowód przywiązania rozczulił mnie niezwykle...

Na honor!... Ta sama myśl, którą wam miałem zakomunikować, w tej chwili przemknęła mi przez głowę. Gdybym choć parę minut... Ale mniejsza o to!

Byłem więc, jak powiadam, rozrzewniony. Cmentarz ma swoje powaby. Te na przykład drzewa i kwiaty, te ławki, na których żywi siadają, aby rozmyślać o umarłych, są bardzo przemawiające do duszy. A weźmyż teraz dzieci bawiące się, lub strudzonych robotników, spoczywających między grobami; wszystko to jest bardzo poetyczne!

Idziemy w ten sposób z alei do alei, od grobu do grobu, gdy wtem pod krzyżem między drzewami spotykamy klęczącego człowieka...

Człowiek... klęczący... pod krzyżem... między drzewami?... Zastanowiło mnie to! ... Zbliżyliśmy się, klęczący. Wołamy — klęczący... Młodszy Chapandrowicz, jako najbardziej zdeteminowany, podchodzi bliżej, dotyka się człowieka, klęczącego pod krzyżem, i... cofa się w tył z okrzykiem.

Człowiek był powieszony!

Dziecko, Grób

Nogi jego były zgięte, a kolana znajdowały się w odległości pół cala od ziemi. Ręce zwisały się po obu stronach ciała: lewa w odległości dwóch cali od krzyża, prawa w odległości arszyna³⁴ do akacji. Na twarzy denata znajdowały się sine plamy, na szyi zaś mocno zaciśnięty pasek, którego górny koniec był przywiązany do ramienia krzyża.

Pierwszym naszym zadaniem wobec podobnego wypadku było uwiadomić właściwe władze. Jakoż pobiegliśmy ku rogatce. W bramce jednak cmentarza młody Chapandrowicz zauważył, że należało by dopomóc nieszczęśliwemu. Uderzeni trafnością jego zdania, wróciliśmy na powrót i przekonaliśmy się, że denat był jeszcze ciepły. Zdjąwszy go zatem, przy pomocy robotników, ułożyliśmy go na sąsiednim grobie, lecz ponieważ żaden z nas nie wiedział, jakim sposobem należy ratować wisielców, pobiegliśmy więc po lekarza.

Gdy lekarz przyszedł, znaleźliśmy już na miejscu właściwy sąd... Od niego dowiedzieliśmy się, że denat już nie żyje, że śmierć nastąpiła przez powieszenie na pasku, że prawdopodobnie nieboszyk był samobójcą, i że się nazywał Stefan...

— Co? Stefan? — wykrzyknął do najwyższego stopnia zdziwiony patron.

— Stefan! Pański kolega... To samo nazwisko — rzekł mecenas.

— Ale ja, panie dobrodzieju, nazwiska nie mówiłem, mówić nie mogłem! — wołał prawie zrozpaczony patron.

— Upewniam pana, że to on sam! — twierdził mecenas.

— Nieszczęście, panie dobrodzieju.

— Sąd Boży! — wtrącił adwokat. — Prawie przysiągłbym, że się powiesił na krzyżu Marii.

— Tak jest! Na krzyżu Marii! — potwierdził mecenas. — Pijaków i bezbożników zawsze spotyka los podobny.

— Pijaków! — jęknął patron. — Wybaczcie, panie dobrodzieju, ale muszę już iść do domu.

— Proponowałbym, abys kolega do końca wysłuchał historii — zawołał adwokat.

— Historia już skończona — rzekł mecenas — ale ta druga kwestia, o której zapomniałem...

— Czy istotnie jest tak ważna?

— Dałbym na honor piętnaście rubli na ubogich, gdybym ją mógł sobie przypomnieć; no, ale kiedy panowie śpieszycie się...

Nastąpiły bardzo czule pożegnania, w ciągu których mecenas na próżno chciał sobie przypomnieć swoją ważną kwestię, a patron ciężko wzdychał. Potem mecenas poszedł w jedną stronę, jego zaś koledzy w drugą.

Upłynęło kilkanaście sekund, gdy nagle od strony Saskiego Placu rozległ się okrzyk:

— Panie adwokacie! Panie patronie!... Zaczekajcie! Zaczekajcie!...

Zmęczony mecenas przebiegł jak jeleń obok cukierni, doganiając kolegów, którzy zatrzymali się zdumieni.

— Co za pamięć! Co za pamięć!... Teraz dopiero przypomniałem sobie, com miał wam zakomunikować — mówił mecenas.

— No cóż takiego?...

— Kiedy adwokat skończył opowiadanie o Marii, przypomniałem sobie, że mam bardziej ważną sprawę i że z powodu braku czasu nie będę wam mógł dokończyć historii o Stefanie...

— Tylko to?... — zapytał adwokat.

— To tylko... Dobranoc!

— No, a jakże będzie z piętnastu rublami, które miałeś kolega dać na ubogich w razie przypomnienia sobie kwestii?

— Ehe! To tylko była ozdoba stylowa! — odparł z napiętniejszym uśmiechem mecenas. — Do zobaczenia!

V. JESZCZE OPOWIADANIE AUTORA

Los, który interesuje się widocznie piśmiennictwem, zdarzył, że siedząc przy drugim stoliku w cukierni, wysłuchałem opowiadań jurystów. Zainteresowały mnie one w wysokim stopniu; a ponieważ ze szczegółów tych chciałem zrobić przynajmniej trzytomową

³⁴arszyn — jednostka długości, ok. 3/4 m. [przypis edytorski]

powieść, postanowiłem więc od osób poinformowanych zasięgnąć dokładniejszych objaśnień. W tym celu, wystarawszy się o stosowne rekomendacje, poszedłem naprzód do mecenasa.

— Czy pan mecenas dobrodziej nie raczyłbyś mi dać objaśnień o samobójcy Stefanie, który się powiesił na cmentarzu?

— O Stefanie?... Ja wiem tylko o samobójcy, który się powiesił po pogrzebie Chandrowicza starszego. No, ale ten nazywał się Franciszek...

— Aha! Bardzo dziękuję panu mecenasowi.

— Powiesił się na własnym pasku, w przystępie melancholii, dnia...

Udałem się z kolei do adwokata, myśląc, że dzięki przemianie Stefana we Franciszka, powieść moja zredukuje się do dwu tomów.

— Czy nie mógłbyś mi pan mecenas dobrodziej — rzekłem z kolei do adwokata — udzielić bliższych informacji o Marii, która zmarła w szpitalu?...

— Mówiono mi już o tym — odparł adwokat — żeś pan słyszał moje opowiadanie. Otóż resztę szczegółów zostawiam pańskiej twórczości, ja bowiem, przy moich zajęciach...

— Więc postać Marii?...

— Jest płodem mojej własnej fantazji. Prawda, że piękna postać?... Odstąpię ją panu, z prośbą, abyś wymienił w książce i moje także nazwisko.

— Dobrze, panie mecenasie.

— Oprócz tego, racz pan podać mój adres z dodatkiem, że interesantów przyjmuję od 10 do 12, i że głównie powodzi mi się w regulowaniu działów, tudzież w sprawach rozwodowych.

Wyszedłem zgryziony, powieść moja bowiem zmniejszyła się o całe dwa tomy. Pozostał mi tylko patron, udałem się więc do niego.

— Czy pan mecenas dobrodziej nie raczyłbyś mi...

— Wiem już, wiem! — krzyknął przerażony. — Na rany Boskie, nie dotykaj pan tej głupiej sprawy!... Stefan nigdy w szynku nie grywał, nigdy pijakiem nie był, nigdy się nie wieszał, nigdy rubli na loterię nie puszczał!... To kompletnie bogaty chłopak i mój osobisty przyjaciel!... Panie literacie! — ciągnął dalej obrońca. — Ja was wszystkich, panie dobrodzieju, bardzo szanuję, ale... nie opisujcie tej historii, bo przez nią mogę stracić najprzypoitszego klienta, który mi dostarcza mnóstwa spraw i po książęcemu płaci...

Wybiegłem znękany.

Kłamstwo

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/prus-powiadki-cmentarne>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Prus, Nowele Warszawskie, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Londyn 1946

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Doroty Kowalskiej.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Koziół, Aneta Rawska, Paulina Choromańska, Paweł Koziół.

ISBN 978-83-288-0752-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.